

Osłabiona wszechwładza Waszyngtonu

24 listopada 2013

Ponad 20 lat po upadku bloku radzieckiego i zakończeniu zimnej wojny, nowy ład międzynarodowy ciągle nie jest ustabilizowany, a czasy, w których Stany Zjednoczone narzucały swoją wolę całemu światu, minęły. Na Bliskim Wschodzie coraz gorzej sobie radzą, bo choć nadal starają się powstrzymać Iran oraz chronić Izrael i Arabię Saudyjską, ich uwagę przykuwają Chiny. Jedno coraz trudniej przychodzi im pogodzić z drugim.

Od początku wojny domowej w Syrii prezydent Barack Obama dawał wyraźnie do zrozumienia, że wolałby uniknąć bezpośredniej interwencji wojskowej Stanów Zjednoczonych. Jego zdaniem, Ameryka stoczyła już dość wojen na Bliskim Wschodzie, a konflikt ten nie zagraża jej podstawowym interesom. Dlaczego zatem Obama dokonał wołty, grożąc docelowymi uderzeniami w reżim syryjski po tym, jak 21 sierpnia użyto broni chemicznej przeciwko ludności cywilnej? Dlaczego konflikt przesunął się nagle z marginesu w samo centrum amerykańskiego zainteresowania strategicznego? Dlaczego w takiej właśnie chwili?

Dotychczas konflikt syryjski odgrywał poślednią rolę w polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych. Nawet po dwóch latach krwawych bojów i w obliczu ponad 100 tys. zabitych, amerykańska klasa polityczna w większości nadal była przeciwna bezpośredniemu zaangażowaniu USA. Obama zadowalał się „służbą minimum”, apelując do prezydenta Syrii, Baszara al-Assada, aby zrezygnował z władzy, i obiecując pomoc techniczną świeckim i umiarkowanym nurtom w łonie sił powstańczych. Odmawiał dostaw broni ciężkiej, których się domagały, i podjęcia jakichkolwiek działań, które doprowadziłyby do zmiany układu sił w terenie. Co prawda wobec szerzących się masakr i wzrostu liczby ofiar wśród ludności cywilnej zgodził się zwiększyć pomoc

amerykańską dla powstańców i rozważyć możliwość przeprowadzenia ograniczonej operacji wojskowej. Sprecyzował jednak natychmiast, że dojdzie do niej tylko wtedy, gdy Assad przekroczy „czerwoną linię”, stosując gazy bojowe lub zaopatrując w nie bliskie reżimowi grupy zbrojne [1].

TO MUSI COŚ ZNACZYĆ

Atak chemiczny z 21 sierpnia, naruszając granicę publicznie wytyczoną w Białym Domu, wymagał więc amerykańskiej reakcji wojskowej, bo w przeciwnym razie pierwsze mocarstwo światowe zdyskredytowałoby się w oczach „społeczności międzynarodowej”. „Odmawiając działania, podkopaliśmy wiarygodność innych zaangażowań w sprawy bezpieczeństwa, do których zobowiązały się Stany Zjednoczone”, wyjaśnił sekretarz obrony, Charles („Chuck”) Hagel. „Nazwa Stany Zjednoczone musi coś znaczyć. Chodzi o stawkę o żywotnym znaczeniu dla polityki zagranicznej i dla zobowiązań podjętych wobec naszych sojuszników.” [2]

Gdy narastała wrogość opinii amerykańskiej do uderzeń w reżim syryjski, kalkulacje strategiczne Obamy zakłóciły dwa czynniki: z jednej strony zaangażowanie w konflikt syryjski innych aktorów regionalnych, zdecydowanych wykorzystać sytuację we własnym interesie, czy to za pośrednictwem dostaw broni, czy też bezpośrednio uczestnicząc w walkach; z drugiej – coraz większa rola, przypadająca wśród tych aktorów strategicznym przeciwnikom Stanów Zjednoczonych, takim jak Iran i Hezbollah. Wyraźne pragnienie Obamy, aby Syria pozostała na peryferiach interesów amerykańskich, zderzało się, jego zdaniem, z postawą rozmaitych aktorów, którzy zamierzali skorzystać z tego „zaniedbania”.

W oczach Waszyngtonu Bliski Wschód rozdzierają dwa środki ciężkości: Izrael na zachodzie i monarchie naftowe na wschodzie. O ile sojusz z Izraelem pozostaje ostoją polityki amerykańskiej w regionie, o tyle państwom znad Zatoki nadal przypada kluczowa rola jako posiadaczom masywnej energetycznej i jako przeciwwadze Iranu. Od dziesięcioleci w interesie

strategicznym Stanów Zjednoczonych leży zapewnianie zarówno bezpieczeństwa Izraelowi i Arabii Saudyjskiej, jak i niezakłóconych dostaw ropy naftowej znad Zatoki na rynki światowe. Taka polityka przekłada się na zmasowaną ingerencję w miejscowe sprawy i, od czasu do czasu, na ekspedycje wojskowe [3].

Dotychczas Syria interesowała zatem Stany Zjednoczone tylko w takiej mierze, w jakiej wchodziła w paradę Izraelowi i monarchiom naftowym. Dlatego Biały Dom gorąco powitał udział Syrii w koalicji antyirackiej, utworzonej w 1990 r. przez prezydenta George'a H. Busha, a jednocześnie energicznie piętnował syryjskie poparcie dla libańskiego Hezbollahu. Sama Syria mało go obchodziła.

Nawet to, co nazywa się „arabską wiosną” 2011 r., nie naruszyło tej obojętności: Stany Zjednoczone odegrały decydującą rolę w transformacjach politycznych w Egipcie, Libii i Jemenie, ale trzymały się z dala od wstrząsów w Syrii. Ich postawa uległa zmianie dopiero wtedy, gdy na Syrii zogniskowała się uwaga mocarstw regionalnych.

Co więcej, konsekwencje konfliktu w ościennym państwie niepokoją przywódców izraelskich: narastająca zależność Assada od posiłków, których dostarcza mu Hezbollah, może spowodować zmasowany napływ broni z Syrii do południowego Libanu, a kruchą Jordanię, ważnego sojusznika Stanów Zjednoczonych, destabilizuje napływ uchodźców syryjskich. Z drugiej strony, monarchie naftowe wykorzystują kryzys syryjski do prowadzenia za pośrednictwem prokurentów wojny z Iranem, przy czym każdy obóz stara się doprowadzić do fiaska ingerencji przeciwnego obozu [4].

Tak, jakby tego wszystkiego było mało, Rosja od dawna ma liczne wspólne interesy z Syrią. Chodzi zwłaszcza o bazę morską w Tartusie – jest to jedyna rosyjska baza wojskowa poza obrębem dawnego imperium radzieckiego – oraz o kontrakty na dostawy uzbrojenia. Dla Rosji amerykański brak zainteresowania

Syrią to znakomita okazja, aby rozszerzyć swoje wpływy kosztem Stanów Zjednoczonych [5].

JAK URATOWAĆ STREFĘ WPŁYWÓW?

Ta ryzykowna sytuacja nie umknęła uwadze doradców wojskowych Białego Domu. Od kilku miesięcy działają oni coraz bardziej namiętnie na rzecz interwencji wojskowej, gdyż, zgodnie z ich kalkulacjami, tylko ona może pozwolić na utrzymanie amerykańskiej strefy wpływów w tym regionie w stanie nietkniętym. W czerwcu br. decyzja Obamy, aby dostarczyć powstańcom broń, a nie tylko „nieśmiercionośny” sprzęt, który już otrzymywali, odzwierciedlała zmianę orientacji. W tym samym czasie prezydent postanowił również zintensyfikować swoje zabiegi dyplomatyczne, które miały na celu znalezienie niewojskowego rozwiązania konfliktu syryjskiego [6].

Pod pewnym względem ta zmiana pozycji geostrategicznej jest ubocznym skutkiem wyrażonej przed dwoma laty przez Obamę woli reafirmacji autorytetu Stanów Zjednoczonych w Azji i na Pacyfiku. Priorytetem jest bowiem stawienie czoła erozji wpływów amerykańskich w tej części świata i przeciwstawienie się narastającej hegemonii wielkiego rywala chińskiego, któremu Stany Zjednoczone, zaabsorbowane wojnami w Iraku i Afganistanie, dały wolną rękę. Efekt wahadła sprawił, że ten powrót Stanów Zjednoczonych na scenę azjatycką stworzył na Bliskim Wschodzie wolną przestrzeń, co wykorzystują dziś Iran, Rosja i inni, rywalizując o to, komu w tej grze przypadną pierwsze skrzypce. Z wynikającymi z tego niepokojami w Waszyngtonie, wiąże się nagłe zajęcie przez Obamę stanowczej postawy wobec Assada.

Amerykański prezydent, angażując się w proces dyplomatyczny, chce jednym strzałem ustrzelić dwa зайące. Po pierwsze, pierwszoplanowa rola, przydzielona Kremlowi w rokowaniach, uplasowała Rosję w świetle reflektorów „społeczności międzynarodowej”, co może odstręczyć ją od dalszej destabilizacji regionu. Po drugie, konfiskata i zniszczenie

syryjskich składów gazów bojowych – nadal nie wiadomo, jakie środki techniczne, logistyczne i finansowe mają to zapewnić – może zachęcić Iran do większej elastyczności w obliczu nacisków międzynarodowych, związanych z jego programem nuklearnym.

Wydaje się, że minęły czasy, gdy Stany Zjednoczone narzucały swoje poglądy całemu światu i że Biały Dom żongluje teraz dwoma nie zawsze możliwymi do pogodzenia celami: wyhamowaniem wpływów chińskich poprzez wzmocnienie własnej pozycji w Azji i powstrzymaniem apetytów Iranu i Rosji na Bliskim Wschodzie poprzez zaangażowanie się w konflikt syryjski [7].

Autor: Michael T. Klare

Tłumaczenie: Zbigniew Marcin Kowalewski

Źródło: [Le Monde diplomatique – edycja polska](#)

PRZYPISY

[1] Zob. J. Ball, „Obama Issues Syria a Red Line Warning on Chemical Weapons”, The Washington Post, 20 sierpnia 2012 r.

[2] Oświadczenie Charlesa Hagela przed senacką komisją spraw zagranicznych, 3 września 2013 r.

[3] Zob. A. Gresh, „De l’impasse syrienne à la guerre régionale”, Le Monde diplomatique, lipiec 2013 r.

[4] M.T. Klare, Krew i ropa, Warszawa, Akces 2006; M. Palmer, Guardians of the Gulf, Nowy Jork, Free Press 1992.

[5] T. Arango, A. Barnard, D. Adnan, „As Syrians Fight, Sectarian Strife Infects Mideast”, The New York Times, 1 czerwca 2013 r.

[6] Y. Beinglass, D. Brode, „Russia’s Syrian Power Play”, The New York Times, 30 stycznia 2012 r.

[7] M. Mazzetti, M.R. Gordon, M. Landler, „U.S. Is Said to Plan to Send Weapons to Syrian Rebels”, The New York Times, 13

czerwca 2013 r.